

*Martyna Hanak*

*Wyróżnienie w konkursie literackim "Racibórz prozą zaczarowany"*

## **RACK vs N.Y.**

Wiszące nad podkrakowskimi Balicami ciężkie, ołowiane chmury znacznie ograniczały widoczność. Dreamliner już dawno zniknął nam z oczu, słychać było tylko milknący szum jego silników.

- Chodź, bo zanosi się na śnieżycę – tata pociągnął mnie za rękaw. – Przed nami ponad dwie godziny jazdy.

Jeszcze raz zerknęłam na niebo, jakbym spodziewała się ujrzeć na nim roześmianą twarz Gośki, a potem noga za nogą powlokłam się w stronę parkingu.

W drodze powrotnej nie chciało mi się nawet gadać. W miarę jak nasz opel połykał kolejne kilometry, ja coraz bardziej pograżałam się w myślach. Jestem z natury dość skryta i musi trochę potrwać, nim się przed kimś otworzę, więc bardzo mnie samą zaskoczyła łatwość, z jaką w ciągu dwóch tygodni zaprzyjaźniłam się z moją nigdy przedtem nie widzianą kuzynką. Tym bardziej, że z początku nic na to nie wskazywało.

\* \* \*

Brat taty zaraz po studiach wyjechał do USA. Udało mu się tam jakoś zaczepić. Potem się ożenił (też z Polką), a jeszcze później urodziła im się córka, która jest o dwa miesiące młodsza ode mnie. Zajęty robieniem kariery wujek nie myślał o Polsce, więc ani razu tu nie przyjechał. Od czasu do czasu rozmawiał z bratem poprzez skype'a i wszyscy byli zadowoleni. Chyba.

Nagle ni stąd ni zowąd ustalono, że moja kuzyneczka bardzo chce zobaczyć Polskę, więc ją wsadzą w samolot i przyleci do nas na Święta. Mnie oczywiście nikt nie pytał o zdanie. Byłam przekonana, że Margaret będzie zadzierać nosa, a Racibórz będzie ciągle porównywał do N.Y., z wiadomym rezultatem.

\* \* \*

W milczeniu mierzyłyśmy się wzrokiem. Stała w progu mojego pokoju, a obok niej leżały dwie ogromne walizy na kółkach. Jej mroczne spojrzenie i wyduńczone usta utwierdzały mnie w przekonaniu, że nie zapałam do siebie sympatią.

Nie czarujmy się, moja mina też pewnie nie była zbyt zachęcająca, ale jak miałam wyglądać? Z rozczochranymi włosami, w piżamie, obudzona w środku nocy tylko po to, żeby powitać „drogiego gościa”.

Gośka... sorry, Margaret, to moja kuzynka z samej (trzymajcie się mocno) AMERYKI!!! Robi wrażenie co? Ale nie na mnie. Jeżeli ona myśli, że ja na klęczkach będę przed nią skamleć o łaskawe spojrzenie, to... nieźle się nacięła.

- No, co tak stoicie! Przywitajcie się – tata chyba nie zauważył bezdennej przepaści ziejącej pomiędzy mną i nią.

Coś tam obie mruknięłyśmy, ale tata nie zwrócił na to uwagi

- Nie macie pojęcia co tam się działo – biadolili zdejmując buty. – Ten samolot z Nowego Jorku bynajmniej nie był jedynym opóźnionym, więc kłębił się tam niezły tłumek oczekują-

cych. Potem się zrobiła mgła i niewiele brakowało, a przekierowaliby wszystkie samoloty do Rzeszowa albo Katowic. No, ale jakoś udało się wylądować. A potem na A-4 był karambol i staliśmy w korku... Margaret – zwrócił się do GOŚCIA. – chodźmy do twojego pokoju.

Poszli.

„Twojego pokoju...” – prychnęłam. To był pokój Bartka, mojego brata, aktualnie siedzącego we Francji na jakiejś studenckiej wymianie. A ile było gadania, jak zapowiedział, że nie przyjedzie na Święta, a proszę, dobrze się stało, bo inaczej musiałabym spać z Gością w jednym pokoju. Zgroza!!!

I to ich nazwisko – Sver. Ja rozumiem, że Świerszcz nie brzmi zbyt... międzynarodowo, ale ja bym go nie zmieniała. Jak mają Amerykanie problem, to niech się języków uczą. Skoro my możemy (nawet musimy), to i oni mogą. Myślą, że są pępkiem świata.

Kiedy to wszystko podsumowałam, to wyszło mi, że tej Margaret nie lubię.

\* \* \*

Właściwie dopiero przy obiedzie usłyszałam głos mojej kuzynki. Na śniadanie nie wstała, bo długa podróż i różnica czasu nieco rozregulowały jej zegar biologiczny. Potem ja byłam w szkole. Pełny luz, bo to przedostatni dzień nauki, a potem już przerwa świąteczna!

Moi rodzice próbowali przy stole jakoś nas zintegrować, ale skutkiem były jedynie monosylaby, zarówno z mojej, jak i jej strony. Dowiedzieliśmy się przynajmniej, żeby do niej mówić Gosia lub Małgosia, ale broń Boże Maggie, bo tego nie cierpi.

Po obiedzie mama zawołała mnie do kuchni.

- Co jest grane? – zapytała wprost.

- O co ci chodzi? – udawałam głupią, ale nie z moją mamą takie numery.

- Nie wymiguj się od odpowiedzi. Zamiast udawać naburmuszoną księżniczkę, po prostu daj dziewczynie szansę.

- Ale to ona nic nie gada – broniłam się.

- Bo samą swoją miną skutecznie ją zniechęcasz. Zrozum, że jej na pewno jest trudniej, niż tobie. Jest sama w kompletnie obcym środowisku. To dla niej niemal egzotyka...

- Jak chciała egzotyki, to mogła sobie jechać do Afryki – warknęłam.

Mama spojrzała na mnie surowo.

- Nie bądź wredna. Po południu weź ją na miasto. Na rynku jest jarmark świąteczny.

- Ale szal dla Amerykanki! – nie kryłam sarkazmu. – Pewnie ją rzuci na kolana.

- To, czy będzie się dobrze bawiła, zależy już tylko od ciebie. A póki co zabierz ją teraz do tej twojej jaskini.

Pora na małą dygresję: To zrozumiałe, że Goście brakowało polskich słów, radziła sobie jednak całkiem dobrze, jak na kogoś urodzonego za oceanem. Czasem wspomagałam ją angielszczyzną, ale nie lubiła tego. Mówiła, że ona chce mówić tylko „po polski”. Żeby niepotrzebnie nie komplikować, jej wypowiedzi będę przedstawiać w poprawnej polszczyźnie.

Tymczasem z niekłamany zainteresowaniem rozglądała się po moim pokoju. Zatrzymała się przy wąskiej, ale wysokiej półce.

- Widzę, że zbierasz płyty – zauważyła.

- A ty nie? – zdziwiłam się.

- Nie, nawet nie mam odtwarzacza. Słucham tylko tak – dotknęła wiszących na szyi słuchawek do MP3.

- Ja też tak słucham, ale płyty traktuję kolekcjonersko. Uwielbiam oglądać okładki, a jeżeli do tego w środku są teksty, to jeszcze i angielski mogę podszlifować.

- Aha, to ma sens – zgodziła się.

Potem zaczęła oglądać moje dyplomy. Zatrzymała się przy jednym.

- O, jeździsz na nartach!

- Uhm, uwielbiam to. W styczniu mam trzydniowe białe szaleństwo ze szkoły. Nie mogę się doczekać. A ty?

- Nigdy jakoś nie miałam okazji – westchnęła. – Za to wyzywam się w pływaniu.

- Super! Ja też pływam. Masz kostium? Jeżeli tak, to możemy się wybrać na basen.

Energicznie skinęła głową i po raz pierwszy na jej twarzy ujrzałam prawdziwy uśmiech.

W końcu wyszliśmy na miasto. Byłam ciekawa jak się ubierze. O dziwo, normalnie. Dżinsy, bluza, za to kurtkę miała naprawdę super.

Zaczęłyśmy od Placu Wolności. Trochę musiałam się nagimnastykować, żeby jej wytłumaczyć co to jest gład narzutowy, ale jakoś się dogadałyśmy. Potem weszłyśmy w ulicę Długą.

- Gdzie są ludzie? – w pewnym momencie zapytała Gośka rozglądając się niepewnie.

I cóż ja jej mogłam odpowiedzieć? Nie da się ukryć, że ta ulica w zimowe popołudnie (i nie tylko) raczej mało przypomina Broadway, lub Champs-Elysees. Na szczęście im bliżej rynku, tym było gwarniej.

Cały rynek był szczelnie zastawiony budkami handlarzy. Szaleńczo migające kolorowe lampki niemal przyprawiały o oczopląs, a szpalery sztucznych i naturalnych choinek tworzyły obok Statui Maryjnej prawdziwy las.

Gośka z umiarkowanym zainteresowaniem przyglądała się temu wszystkiemu. Jej zblazowanie coraz bardziej działało mi na nerwy. „Poczekaj, już ja cię rozruszam” – postanowiłam i pociągnęłam ją za sobą. Jak było do przewidzenia, jak tylko moja kuzynka TO poczuła, była „ugotowana”...

Gorące pączki... temu nie można się oprzeć!

Ledwie ustawiłam się w kolejce, kiedy zaraz za mną stanęła moja... nauczycielka angielskiego!

- Cóż za spotkanie – zagadnęła po moim „dzień dobry”.

Coś ponawiała o atmosferze świąt i takie tam, ciągle przy tym zerkając na stojącą nieopodal Gośkę.

- Twoja koleżanka też lubi pączki? – zapytała.

- To nie koleżanka, tylko kuzynka ze Stanów, a pączki to nie wiem czy lubi, bo jeszcze takich na pewno nie jadła.

- Powiedziałaś z USA? – Anglicy zaświeciły się oczy. – A czy ona mówi po polsku?

- Owszem, całkiem niezłe...

- Bo wiesz, tak sobie pomyślałam, czy nie zechciałaby jutro przyjść do nas na lekcję.

Mam jutro z wami zajęcia, prawda?

Oszołomiona, tylko skinęłam głową.

- No to załatwione! – ucieszyła się nauczycielka.

- To może ja jej zapytam – bąknęłam.

- Co? Ach tak, rzeczywiście. Bo przecież może ona nie ma ochoty...

Miała ochotę. I na wizytę w szkole, i na pączki. Nie żalowałyśmy sobie. Wzięłyśmy od razu sześć. Dopiero pod ich czarodziejskim wpływem Gośka się nieco odblokowała. Zjadając już ostatniego, podeszła (a ja za nią) do kościoła WNMP i zaczęła czytać tablicę informacyjną. Omal się nie zakrztusiła.

- Czy to jakiś żart? – zapytała.

Nie wiedziałam o co jej chodzi.

- Przecież ten kościół nie może mieć ośmiuset lat! – wskazała tablicę.

- A, ty o tym – wzruszyłam ramionami. – Jak nie może mieć, skoro ma?

- Ale to jest strasznie stare – z niedowierzaniem kręciła głową. – Starsze niż... niż...

- Niż Nowy Jork? – zapytałam ironicznie. – To na pewno. Tu zresztą jest więcej takich „staroci”.

Tymczasem wyszłyśmy na Nową. Wskazałam w stronę parku Moniuszki.

- Widzisz tę basztę... *tower*? – poprawiłam, widząc, że nie wie, o czym mówię.

Przytaknęła.

- To też XIII wiek. – poinformowałam ją beznamietnie.

Mogłam się mądrzyć, bo kilka lat temu brałam udział w konkursie historycznym. Z sukcesem!

Dziewczyna była zdezorientowana. Spoglądała to na basztę, to na kościół. Najwyraźniej próbowała sobie to wszystko w głowie poukładać.

- Ale... ten kościół... on jest taki duży, więc jak wielkie wtedy było miasto?

- O, z pewnością dużo mniejsze, ale w średniowieczu kościół musiał być okazały, bo był najważniejszym budynkiem w grodzie... oprócz zamku, oczywiście.

- Zamku? – Gośki oczy zrobiły się naprawdę wielkie. – Chcesz powiedzieć, że w Raciborzu jest zamek? Prawdziwy?

Jej zaskoczenie było rozczulające.

- To chyba oczywiste – pokiwałam głową z politowaniem. – Skoro rezydował tu książę, to chyba zamek nie powinien nikogo dziwić, no nie?

- Książę... – usta Gośki przybrały kształt idealnej litery „o”, a potem nagle się roześmiała. – Wiesz co, przez chwilę nawet dałam się nabrać. Księstwo, tutaj... akurat!

Oj, naraziła mi się. Będę musiała jej co nieco udowodnić.

- Jutro po południu pójdziemy na zamek – zdecydowałam. – A potem do muzeum. Tam się dopiero zdziwisz.

W myślach aż zacierałam ręce na myśl o jej minie, jak zobaczy mumię.

\* \* \*

Na przerwie wyszłam przed szkołę, Gośka już czekała. Z zainteresowaniem rozglądała się po korytarzu. Kiedy weszłyśmy do klasy, zdążyłam ją jeszcze przedstawić kilku koleżankom i usiadłyśmy w ostatniej ławce.

Zaczęła się lekcja. Nasza Anglica namówiła moją kuzynkę na zwierzenia. Dowiedzieliśmy się więc jak wygląda system edukacji w Stanach. No wiecie, te wszystkie ich *college* i uczelnie z *ivy league*.

Obiektywnie muszę przyznać, że Gośka mówiła dosyć ciekawie i bez gwiazdorzona. Nikomu nie przeszkadzały jej drobne potknięcia językowe. Potem z kolei nauczycielka zaczęła opowiadać, jak to wygląda w Wielkiej Brytanii (spędziła tam dwa lata). Mniej więcej w połowie lekcji pilny telefon wymiótł ją z klasy. W drzwiach niemal zderzyła się z wchodzącym Adrianem. Dopiero teraz zauważyliśmy, że go dotąd nie było.

Adrian, czyli Adi to najbardziej odjechany gość w naszej klasie, a może i w całej szkole. Jest typem totalnego luzaka nie przejmującego się konwenansami. Mówi to, co myśli (a czasem chyba wcale nie myśli). Widząc go, pierwsze na co zwraca się uwagę, to jego spodnie. Wiadomo, że teraz najmodniejsze są takie z obniżonym krokiem, ale Adi w tym względzie jest rekordzistą, bo jego gacie mają krok jakieś 20-30 centymetrów nad ziemią. Z daleka wygląda to tak, jakby włożył stopy w rękawy T-shirta.

Nauczycielka wymownie spojrzała na zegarek, a wymijając Adiego tylko pokręciła głową i wyszła. Zadowolony z siebie chłopak stanął na środku klasy.

- No i co tak walcie karpia? – powiedział wzrokiem po wpatrzonej weń klasie. – W kiblu byłem, chyba się wam nie będę spowiadał, co tam robiłem.

Wtedy zauważył Goškę.

- Och, więc to jest ta sławna *an American girl!* – zawołał z emfazą.

Podszedł do nas z niemądrym uśmieszkiem na twarzy, a ponieważ krzesło przed Gosią było wolne, więc usiadł na nim okrakiem, twarzą do niej.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś *nice*? – mrugnął, w jego mniemaniu, uwodzicielsko. – Bo jeżeli tak, to kłamał, tak naprawdę to jesteś *very beautiful*.

Moja kuzyneczka poważnie spojrzała mu w oczy, położyła rękę na jego ramieniu i odparła zmysłowym głosem:

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś *foolish*? Bo jeżeli tak, to kłamał, tak naprawdę to jesteś *very stupid*.

Wszyscy ryknęli śmiechem, tu i ówdzie rozległy się nawet oklaski, ale Adi bynajmniej nie wyglądał na speszonego.

- No i co się śmiejecie? – spojrzał na klasę. – Musiałem przynajmniej spróbować, no nie? Naprawdę trudno się na takiego gniewać?

\* \* \*

Po zamku i muzeum uznałam, że zasłużyłyśmy na coś pysznego, więc i dzisiaj ponownie znalazłyśmy się na rynku. Żeby udowodnić Goške, że raciborskie delicje nie ograniczają się tylko do pączków, zabrałam ją na kawę mrożoną. Dokąd? Oczywiście do „Piotrusia”! Bardzo bym chciała dożyć czasów, kiedy będzie można doczekać się tam kawy w mniej niż pół godziny. Ludzie narzekają, ale posłusznie czekają, bo wiedzą, że warto.

Siedziałyśmy na antresoli. Patrzyłam na pochyloną nad szklanką, trwającą w błogostanie (nic dziwnego!) Goškę.

- Słuchaj – zagadnęłam. – zauważyłam, że ty się tutaj wszystkiemu dziwisz, a przecież twój ojciec jest stąd. Wyjechał jako dorosły mężczyzna i nie opowiadał ci o swoich dziecięcych zabawach? Mój tata bardzo często wspomina jakie to numery wywijali z bratem.

Dziewczyna się zamyśliła, bezwiednie bawiąc się słomką w pusteju już szklance.

- Właściwie to tata niewiele mówił o Polsce. Czasem go o to nagabywałam, ale zbywał mnie mówiąc, że nie warto oglądać się za siebie, i że świat należy do tych co patrzą w przyszłość. Opowiadał jak to musiał walczyć żeby przestano go wreszcie postrzegać jako „głupiego Polaczka”, a skoro już coś osiągnął, to nie będzie tracił czasu na sentymenty, bo życie to ciągła walka o utrzymanie tego, co się już zdobyło.

- Hm, to i tak dobrze, że w ogóle mówisz po polsku – zauważyłam.

- To zasługa mamy. Ona też pracuje, ale w domu mówi do mnie wyłącznie po polsku. Z początku się to tacie nie podobało, ale ponieważ i tak do domu wracał wieczorami, nic nie mógł poradzić, a mama twierdziła, że im więcej języków będę znała, tym lepiej.

- No i miała rację – podsumowałam.  
Czułam jednak, że to nie wszystko, że ją nosi. Jeszcze chwila, a pęknie.

- No, wyduś to z siebie – zachęciłam ją.  
Trochę się krygowała, ale zmiękła.

- Muszę ci się do czegoś przyznać... – zaczęła niepewnie. – To, że tu jestem, to jest kara.  
- Za karę? Do Polski? – zjeżyłam się. – I co? Widziałas już białe niedźwiedzie na ulicach? Jest zima, może ci się uda.

- Nie wściekaj się. Zrozum, że dla wielu Amerykanów Poland i Holland to jedno i to samo. Oczywiście wiedzą kto to „John Paul II” i „Walesa”, ale Chopin już niekoniecznie kojarzy im się z Polską. Ja też specjalnie nie obnosiłam się z pochodzeniem, żeby nie usłyszeć tych wrednych *polish-jokes*.

Trochę ochłonęłam, ale tylko trochę.

- Powiedzmy, że cię rozumiem, ale żeby do Raciborza... za karę?

- To nawet nie chodziło o Racibórz, ale ogólnie, o Polskę. A że za karę? – zawahała się. – Jakby to powiedzieć? Ostatnio trochę narozrabiałam. Piłam nie to co trzeba i paliłam nie to co trzeba.

- Ach. No tak. – domyślnie pokiwałam głową. – U nas też o to nietrudno. Prawie w każdej szkole...

- Ale mnie zgarnęła policja! – przerwała mi.

Uch!!! Jedyne, co mogłam zrobić po takim wyznaniu, to milczeć, co też uczyniłam. Czeakałam na ciąg dalszy. Nawet krótko czekałam.

- Mieliliśmy całą rodziną na Święta i Nowy Rok pojechać do Paryża. Po tym moim... potknięciu, rodzice uznali, że nie zasłużyłam sobie, ale oni sami nie mają zamiaru rezygnować z podróży marzeń. Ponieważ samej nie chcieli mnie zostawić w N.Y., więc wymyślili ten Racibórz. No to teraz już wiesz wszystko – zakończyła.

- Hm, mnie to przedstawiono nieco inaczej – mruknęłam. – Że niby o niczym innym nie marzyłaś jak tylko o poszukiwaniu swoich korzeni i takie tam. To co powiedziałaś zmienia nieco postać rzeczy i trochę mi cię żal. Nasz piastowski zamek to na pewno nie Luwr, nawet nasza zamkowa kaplica błędnie przy prawdziwej Sainte-Chapelle. Wszystkie raciborskie kościoły razem wzięte to mały pikuś przy Notre-Dame...

- Przestań! – przerwała mi tę ponurą wyliczankę. – Ja już nie żałuję, że jestem tutaj.  
Chyba się przesłyszałam, ale jednak nie, bo Gośka ciągnęła dalej:

- Przecież nie chodzi o to co sławniejsze, większe, czy bogatsze. Paryż mi nie ucieknie, na pewno jeszcze go kiedyś zobaczę. Musisz wiedzieć, że my w Ameryce mamy kompleks na tle europejskiej historii.

Skinęłam głową.

- No właśnie. Musimy się zadowolić Monticello. Wiesz, o czym mówię?

- Aha – przypomniałam sobie. – To ten dom Jeffersona. Ale to ma chyba niewiele więcej niż dwieście lat.

- Sama widzisz! Czym się tu zachwycać? Może dlatego każą nam się w szkole uczyć na pamięć wszystkich prezydentów i lata ich kadencji.

Tylko jęknęłam ze współczuciem. Ja już wolę naszych Piastów i Jagiellonów.

- Do czego zmierzam – kontynuowała swój wywód Gośka. – My wszyscy wiemy, że w Europie jest mnóstwo zabytków, ale kojarzymy je z metropoliami: Rzymem, Paryżem, Lon-

dynem, Atenami. Ja jestem pasjonatką historii, ale nawet mnie nie przyszło do głowy, że nawet takie małe... sorry, średnie miasta mogą mieć wielowiekową historię.

- Zaskoczę cię – uśmiechnęłam się. – Tu nawet niektóre małe wioski mają po kilkaset lat.

- Nie nabierasz mnie? Ee, widzę, że nie. To właśnie jest niesamowite! Tu człowiek niemal na każdym kroku potyka się o historię.

- Uhm – westchnęłam z przekąsem, myśląc o niektórych „historycznych” chodnikach, gdzie dosłownie można się potknąć na nierównościach.

\* \* \*

Cała rodzina była zatrudniona przy świątecznych wypiekach. Mama, Gosia i ja dekorowałyśmy ciasteczka, a tata je... podjadał. Bezczelnie nazywał to degustacją. Zrozumiałe, że przy tym rozmawialiśmy o wigilijnym menu.

- Jak to, nie będzie indyka? – Gośka była szczerze zdumiona.

- Niedoczekanie! – wojowniczo zawołała mama. – W Wigilię mięsa nie jemy. Ja wiem, że podobno już można, ale ja takich nowomodnych pomysłów nie przyjmuję do wiadomości.

Od rynku, od ulicy Nowej, i Mickiewicza, w kierunku kościoła płynęły strumienie wiernych. Ludzie szli pojedynczo i rodzinami. My też byliśmy jedną z takich rodzinnych grup. Kilka minut przed północą byliśmy już w środku.

- Ale odlot – szepnęła kuzynka. – Jeszcze nigdy nie byłam o tej porze w kościele, a tu tyle ludzi. Ja w ogóle... nie za często – przyznała.

\* \* \*

- Co za barbarzyńska pora! – stwierdziłam, kiedy szliśmy przez nie całkiem jeszcze rozbudzone miasto.

Nie było śniegu (niestety), ale trzymał lekki mroziak. H2Ostróg o tej porze świecił pustkami. To był dobry pomysł, żeby przyjść tu tak wcześnie rano, przynajmniej uniknęłyśmy całej chmary rozwrzeszczanej dzieciarni.

- Masz ochotę pojechać w rurach, albo na jakiś hydromasaż? – zaproponowałam Gośce po wyjściu z szatni.

- Później, najpierw rozgrzewka – odparła, wskoczyła do głównego basenu i popłynęła.

Hm, była niezła... no, niech będzie: była naprawdę dobra. Cztery długości motylkiem to nawet dla mnie za dużo. W kraulu i grzbiecie też była nieco lepsza, jedynie w żabce obrobiłam swój honor.

Wymęczone pływaniem i szaleństwami w rurach poszliśmy się zrelaksować do sauny. Tam dowiedziałam się, że w USA prawie każda średnia szkoła ma swój basen, a sama Gośka była wicemistrzynią szkoły. Biorąc to wszystko pod uwagę, myślę, że nie wypadłam najgorzej.

W drodze powrotnej kuzyneczka znowu zaciągnęła mnie na zamek. O tej porze na dziedzińcu nie było nikogo, ale jej to nie przeszkadzało. Usiadła na cembrowaniu studni i chłonęła atmosferę.

- Wiesz – odezwała się po dłuższej chwili. – To miejsce jest dla mnie magiczne. Nie wiem jak to nazwać, ale mogłabym tu siedzieć, siedzieć i siedzieć...

- Dopóki by ci pupa do kamieni nie przymarzła.

- To prawda – roześmiała się. – chodźmy.

\* \* \*

Zaproponowałam Goście sylwestra u kumpla z klasy, Kacpra.

- To twój chłopak? – zapytała.

- Kacper? – roześmiałam się. – W życiu! Ja nie mam jeszcze siedemnastu lat. Na razie się z tym wstrzymam. A ty masz kogoś?

- Już nie – spuściła głowę. – Był jeden, Mike. To on mnie namówił... wtedy... no wiesz. Po tym wszystkim powiedziałam mu, żeby spadał.

Kacper mieszka na Odrzańskiej. To była niewielka imprezka, osiem osób. Trochę tańca, trochę jedzenia i duuuużo śmiechu. O północy poszliśmy nad Odrę postrzelać, a potem chłopcy po kolei odprowadzili wszystkie dziewczyny.

- Fajnie się bawiłam – powiedziała Gośka, kiedy już znalazłyśmy się w domu. – Dzięki.

Było to miłe z jej strony, ale nie miałam złudzeń.

- Nie przesadzaj. U nas też bywają szalone balangi, ale ja za tym nie przepadam, więc u Kacpra było jak było.

- A ty myślisz, że w N.Y. wszyscy tylko chleją i Bóg wie co robią? – roześmiała się gorzko. – Mnie zdarzyła się głupia wpadka, ale to nie znaczy, że tylko takie imprezy mnie kręcą.

Poczułam się podle.

- Nie o to mi chodziło. Miałam na myśli raczej miejsce. Przyznasz, że nasz Plac Mostowy to jednak nie Times Square.

- Wiesz w czym tkwi twój problem? Masz straszny kompleks prowincjuszki. Niepotrzebnie. To jasne, że Racibórz nie jest Nowym Jorkiem, ale to działa w obie strony. My też możemy wam czegoś zazdrościć.

Nie mam pojęcia o czym mówiła.

\* \* \*

To był przypadek. Naprawdę nie miałam zamiaru podsłuchiwać! Szukałam swojej ładowarki i grzebałam w kieszeniach kurtki wiszącej na garderobie, a drzwi do pokoju Gośki były uchylone.

Akurat rozmawiała ze swoimi rodzicami poprzez Skype'a. Mówiła, że za nimi tęskni i cieszy się, że wkrótce się zobaczą, a potem... potem naprawdę TO powiedziała, ja nie ściemnam!

Cytuję:

- ... Ale wiecie co? Tu naprawdę jest fajnie i ludzie są super! Skoro to jest moja kara, to już zastanawiam się, co musiałabym przeskrobać, żebyście mnie tu znów przysłali w przyszłym roku... Co? Ja wiem że Warszawa, że Kraków... to też może być, ale Racibórz, musi!

To tyle.